GDY SPADŁ ŚNIEG...

WSZYSCY bardzo się cieszymy, gdy spadnie śnieg. Lubimy także zabawę w śnieżki, która, jak się okazuje, przez niektórych chłopców jest opacznie rozumiana.

Zawsze, gdy wychodzimy ze szkoły, koledzy napadają na nas. Nie robią przy tym normalnych kulek śniegowych, ale mocno ubite, twarde, lodowe pociski. O, gdy się taką kulą dostanie, strach pomyśleć, jak boli!

A chłopcy walą, gdzie popadnie, nie patrzą, czy bryła lodu trafia w oko, czy też w nos.

Nie lubię skarżyć, ale lubię wesołe zabawy, bez przykrych skutków. A w naszej szkole było już kilka wypadków uszkodzeń spowodowanych niewłaściwą zabawą w śnieżki. Dlatego ostrzegam innych. (bs)

DANKA
Z PIEKAR ŚL.

KAPITAN LEONID TELIGA PRZEPŁYNĄŁ 10 TYSIĘCY MIL MORSKICH!

ODPOCZYNEK W PORCIE Papeete

Rys. W. Lewiński

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 4 (1682) Warszawa, piątek, 12 stycznia 1968 r. Cena 50 gr.

ŚREDNIOWIECZNE PIÓRO

ciekawe

PODCZAS WYKOPALISK archeologicznych prowadzonych w dolinie rzeki Bazar-darli w Pamirze dokonano na wysokości 3800 m n.p.m. rewelacyjnego odkrycia. Znaleziono przybory pisarskie z wczesnego średniowiecza, składające się z trzcinowego pióra i zbiorniczka na atrament sporządzonego ze skorupy dyni. Takimi piórami posługiwali się przodkowie dzisiejszych Tadżyków.

Jak wykazały dalsze badania, już w XII wieku zarówno u stóp Pamiru, jak i w Armenii, znane były prototypy dzisiejszych wiecznych piór, złożone z trzcinowej „stalówki" i szklanego zbiorniczka na atrament. Zapas atramentu wystarczał na napisanie jednej strony. (k)

„KOPERNIKI" DLA FROMBORKA

3.842 HARCEREK, HARCERZY I INSTRUKTORÓW pracowało od 16 kwietnia do 14 października minionego roku we Fromborku — stwierdza meldunek złożony Głównej Kwaterze ZHP przez „Sztab Operacji 1001-Frombork".

19 uczestników „Operacji" wyjechało z Fromborka jako jego Honorowi Obywatele. Zbiorowy tytuł Honorowego Obywatela Fromborka uzyskał zespół Technikum Poligraficznego w Warszawie.

Harcerze wykonali we Fromborku prace wartości około 750 tysięcy złotych. Natomiast wszystkie drużyny harcerskie i zuchowe w ramach kampanii „Kopernik dla Fromborka" wypracowały na harcerski fundusz fromborski ponad pół miliona złotych. Wysiłek każdej drużyny przyczynia się do tego, że stary gród Kopernikowski przybiera młode, nowe szaty.

STEFAN KOJŁO

NASZ znakomity żeglarz, kapitan Leonid Teliga, który na jachcie „Opty" odbywa samotną podróż dookoła świata, przepłynął już szczęśliwie 10 tys. mil morskich i w tej chwili dobił do wyspy Tahity i zatrzymał się na dłuższy pobyt w porcie Papeete.

Redaktorom „Polskiej Agencji Prasowej" udało się nawiązać telefoniczny kontakt z dalekim portem. Kapitan Teliga poproszony do telefonu podzielił się z dziennikarzami PAP swoimi wrażeniami. Oto co powiedział nasz wspaniały żeglarz:

„Myślałem — stwierdził L. Teliga — że nie uda mi się opuścić portu Taiochae na maleńkiej wyspie Nuku Hiva, należącej do Archipelagu Markizy. W końcu grudnia na Oceanie rozpoczęły się bowiem huragany. Ostatecznie zaryzykowałem i 21 grudnia wyruszyłem w drogę na Tahiti. Wiatr był bardzo silny. Płynąłem między atolami wysp należących do Archipelagu Tuamotu. Bałem się, że „Opty" nie wytrzyma walki z żywiołem. Płynąłem na mocno „zarefowanych" żaglach. Na szczęście udało mi się ominąć wszelkie przeszkody.

Po przypłynięciu do Papeete dowiedziałem się, że podobna podróż zakończyła się pechowo dla francuskiego jachtu, na którym płynęła 3-osobowa załoga, a kapitanem był mój przyjaciel z Taiochae, kpt. Blondet. Ich jacht wpadł na jeden z atoli i zatonął. Załoga, w skład której wchodziła żona kapitana i brat, została na szczęście uratowana przez helikoptery. Niewiele brakowało, aby i moja wyprawa zakończyła się niepowodzeniem i to wówczas, kiedy nie liczyłem się z możliwością jakiegoś poważniejszego niebezpieczeństwa.

Będąc w pobliżu Tahiti w nocy z 29 na 30 grudnia, gdy osłabł wiatr, udałem się do messy, aby trochę odpocząć. Niedługo trwał mój odpoczynek, bowiem usłyszałem straszny huk. Gdy wpadłem na pokład, zauważyłem, że obok „Opty" przepływa jakiś drewniany wrak. Była to ogromna, namoczona woda belka. Natychmiast sprawdziłem, czy jacht nie przecieka. Na szczęście, nie stwierdziłem wody. Od tego momentu zaczęła się prawdziwa gehenna. Siłą wiatru stale rosła i Nowy Rok warszawski witałem walcząc z żywiołem. Początkowo nie było mowy o wejściu do portu w Papeete. Kapitanat dostrzegł „Opty" i wysłano mi na pomoc holownik. Niestety, duża fala nie pozwoliła, aby wzięto mnie na hol. Nie mogli nawet dobić do „Opty". Wówczas zaryzykowałem ja i samodzielnie wpłynąłem do portu. Tam powitałem Nowy Rok, obchodzony według miejscowego czasu.

PS. W porcie Papeete kapitan Teliga przebywał będzie do marca 1968 roku. Musi naprawić szereg uszkodzeń, położyć na jacht nowy lakier, wymienić niektóre żagle.

Jak powiedział jeszcze kpt. Teliga kolejny etap jego podróży będzie wiódł z wyspy Tahiti do Sydney (Australia).

PRZENOŚNE ELEKTROWNIE ATOMOWE

● W Związku Radzieckim przystąpiono do seryjnej produkcji izotopowego generatora energii elektrycznej „Beta-S" o ciężarze zaledwie 140 kg. Łącznie z osłoną ołowianą i stalową taka przenośna elektrownia ma ciężar 600 kg.

Konstrukcja elektrowni jest bardzo prosta — w bloku izotopowym znajdują się kanały do rozmieszczania tabletek preparatu radioaktywnego. Rozpadając się „Stront-90" wydziela ciepło, które przedostaje się do systemu termoogniw i wytwarza prąd elektryczny.

Elektrownia daje moc 10 watów, co w zupełności wystarcza do zasilania np. automatycznych stacji radiometeorologicznych. Może ona pracować bez przerwy przez około 10 lat!

NIEWIARYGODNA ENERGIA

● Laureat nagrody Nobla, fizyk Basow, oświadczył, że Związek Radziecki posiada obecnie lasery, które w ciągu jednej miliardowej części sekundy wytwarzają wiązkę światła o mocy dziesiątków gigawatów! W laserach tych powstaje tak wysoka temperatura, że trudno ją przeczytać. Jest to bowiem cyfra wyrażona dziesiątką z 23 zerami! Już w chwili obecnej lasery te są wykorzystywane do wytwarzania plazmy o bardzo wysokich temperaturach.

Basow uważa, że wywołanie kierowanej reakcji termojądrowej przy użyciu takich laserów będzie można osiągnąć jeszcze za życia obecnego pokolenia.

(bor)

WRÓG KROKODYLI

● Jaszczurka tupinambis, żyjąca w rzekach kolumbijskich wpadających do Morza Karaibskiego, osiąga około 40 cm długości. Jest ona niebezpiecznym wrogiem krokodyli. Nie napada ona oczywiście na dorosłe zwierzęta, ale umiejętnie wygrzebuje z piasku krokodyle jaja, które są dla niej przysmakiem.

Tupinambis jest źle widziana w nadrzecznych wioskach indiańskich, gdyż innym jej przysmakiem są... kurczęta.

TAJEMNICA „BIAŁYCH INDIAN"

JUGOSŁOWIAŃSKI tygodnik „Vjesnik" zamieścił sensacyjną wiadomość o „białych Indianach" zamieszkujących Północną Karolinę (w USA). Zdaniem autora artykułu w stanie tym żyje grupa Indian, których przodkowie przed 400 laty przyjęli pod swoje wigwamy załogę pewnego statku chorwackiego. W roku 1585, przed osiedleniem się pierwszych brytyjskich osadników na ziemi amerykańskiej, do brzegów Nowego Świata na wybrzeże dzisiejszej Karoliny dotarł statek z Chorwacji. Z niewyjaśnionych przyczyn załoga musiała statek porzucić i nie wróciła do swojej ojczyzny. Po pewnym czasie zaasymilowała się w pewnym indiańskim szczepie.

Tygodnik jugosłowiański przytacza sporo dowodów naukowych, świadczących o istnieniu grupy Indian, nazywających się „Croatan" (po angielsku Croat znaczy — Chorwat). Napisy „Croatan" spotykano dawniej na słupach rozrzuconych po stepie. W amerykańskim słowniku Webstera z 1951 r. w następujący sposób wyjaśniono termin „Indian-Croatan": „Członek ludu, powstałego ze skrzyżowania krwi indiańskiej, białej i czarnej, który żyje w Północnej Karolinie, a w naszych czasach prawnie uznany jako odrębna grupa etniczna".

Czasopismo jugosłowiańskie zwraca się do etnografów, by zechcieli zająć się wyjaśnieniem tajemnicy „białych Indian".

TRUDNE ZWYCIĘSTWO

Foto J. Dąbrowski

TELEFON DZWONIŁ jak zwariowany. Doktor Maryńczak podszedł do aparatu i niezbyt zadowolony powoli podniósł słuchawkę. Był sobotni wieczór. Doktór wrócił niedawno z pracy i chciał po prostu odpocząć...

— Mówi lekarz dyżurny szpitala miejskiego...

— Co się stało? Teraz, o tej porze?

— Przyjęliśmy kilku chorych z objawami nieżytu żołądkowo-jelitowego. Nie chcę nic przesądzać, ale niepokoi mnie, że kilku od razu...

— Zaraz tam u was będę... — doktor wrzucił na siebie płaszcz i wybiegł z domu.

MLEKO ALBO WODA

WŚRÓD CHORYCH były dzieci. Oglądając kartoteki, doktor Maryńczak spostrzegł, że dzieci pochodzą z jednego rejonu miasta, z sąsiadujących ze sobą ulic chełmskiego Osiedla Kolejowego. Bakterie, które wywołały chorobę, musiały pochodzić z jednego źródła. Albo było nim mleko kupowane w jednym sklepie, albo woda. Lekarze decydują błyskawicznie — należy podać ogłoszenie do gazety i wszelkimi innymi drogami zawiadomić ludzi o zagrażającym im niebezpieczeństwie. Na krótko przed północą, z harcerskiego spotkania wyciągnięty zostaje redaktor terenowego oddziału „Kuriera Lubelskiego", a ludziom opuszczającym salę kina po ostatnim seansie, ogłoszono już komunikat, który nazajutrz czyta w gazecie całe miasto: „Wodę i mleko należy pić wyłącznie po przegotowaniu, zaleca się spożywanie wyłącznie świeżych produktów żywnościowych. Istnieje niebezpieczeństwo epidemii".

PRZYCZYNA

NAZAJUTRZ jest niedziela — 26 listopada. Doktor Maryńczak — Powiatowy Inspektor Sanitarny w Chełmie — zawiadamia o wypadkach zachorowań Wojewódzkiego Inspektora w Lublinie. Przyjeżdżają specjaliści. Rozpoczyna się lustracja Osiedla Kolejowego. Już pierwsze oględziny doprowadzają do „odkrycia". — W pobliżu „kolejowego" ujęcia — skąd pobierana jest woda dla dużej części Chełma, znajduje się wylewisko nieczystości, które nie spływają zatkanymi kanałami, ale stoją ogromną kałużą kilka metrów od „ujęcia". Tej zakażonej wody używają mieszkańcy osiedla, na którym mieszka 7.000 ludzi.

EPIDEMIA

NASTĘPNE DNI przynoszą wszystko, co może być w tej sytuacji najgorsze, czego najbardziej się obawiano. Do szpitala przybywa coraz więcej ludzi z podobnymi objawami chroby. To już nie są pojedyncze osoby, a dziesiątki osób. W mieście tworzy się Oddziały Szpitala, po 100 łóżek w każdym, uruchamia się trzy poradnie, które przyjmują chorych. Sytuacja z dnia na dzień pogarsza się. Do szpitala przybywa dziennie ponad 200 osób. Lekarze notują zachorowania na czerwonkę. „Kolejowe" ujęcie wody zostaje zamknięte. Na domach pojawiają się plakaty: „Uwaga, mieszkańcy Osiedla Kolejowego! Władze sanitarne Chełma podają do wiadomości, że aż do odwołania będą czynne codziennie od godz. 6 rano do godz. 17.00 stałe punkty poboru wody dowożonej samochodami".

Z Lublina, z Zamościa przyjeżdżają samochody ze zbiornikami wody. Pełnią codzienne dyżury na ulicach. Wóz miejscowej straży pożarnej dowozi wodę do stołówek, do restauracji. Przed wyruszeniem na ulice, wozy dezynfekuje się

Strażacy i technika

Oto sikawka ręczna z roku 1885 ze skrzynią wodną, mieszczącą 15 wiader wody. Sikawkę uruchamiało 10 silnych ludzi. Prąd wody z tej sikawki docierał na odległość do 40 metrów.

A to już nowoczesny sprzęt pożarniczy. Widoczne na zdjęciu działko wodne zostało wyprodukowane w Polsce w 1964 roku. Tego typu sprzęt używany jest do gaszenia dużych pożarów. Wodę do działka dostarczają: autopompa lub motopompy poprzez trzy linie wężowe. Prąd wody z takiego działka jest tak silny, że może powyrywać kamienie z bruku ulicznego, pozrywać dachówki i przewrócić dorosłego człowieka. Działko takie jest sterowane za pomocą specjalnego mechanizmu. Obsługa jego składa się z 1—2 strażaków zabezpieczonych przed żarem ognia specjalną tarczą ochronną widoczną na zdjęciu.

Zasięg strumienia prądu wody wynosi 50 metrów. Działko, oczywiście, jest przyczepione do samochodu.

Na tym zdjęciu widzicie nowoczesny samochód pożarniczy. Samochód ten umożliwia gaszenie pożarów na dużych wysokościach i używany jest w miastach. Widoczna na zdjęciu drabina przy pełnym wysuwie ma długość 36 metrów i ustawiona jest na tarczy obrotowej. Z przodu samochodu przed silnikiem widać pompę o wydajności 1600 l/min. Samochód wyposażony jest ponadto w specjalny wór ratowniczy, reflektory, syrenę alarmową i szereg innych udoskonalonych urządzeń technicznych.

Obsługę samochodu stanowi 4—6 strażaków.

Tekst i zdjęcia Z. MIERZWIŃSKI

roztworem wapna chlorowanego. Do jedynego czynnego ujęcia wody w mieście dodaje się więcej niż zwykle niszczącego bakterie chloru. W kawiarniach kelnerki nie podają herbaty, bo duża dawka chloru czyni ją niemożliwą do picia.

Ludzie zachowują jednak spokój. Wszystkie zarządzenia władz sanitarnych są wykonywane, miasto — mimo groźnej sytuacji — żyje. Mieszkańcy chodzą do pracy, spotykają się w kawiarniach. Spada tylko frekwencja w kinach.

PREZ CAŁĄ DOBĘ

W STACJI SANITARNO-EPIDEMIOLOGICZNEJ trwa praca od rana do nocy. Analizy, wyjazdy do laboratoriów lubelskich, do okolicznych miast, bo małe laboratorium chełmskie nie nadąża z pracą. Doktor Maryńczak wysyła meldunki o stanie walki z epidemią. Codziennie odbywają się spotkania władz miasta i lekarzy. Na spotkaniach ustala się plan działania na następny dzień. Od 2 do 10 grudnia odbywają się masowe szczepienia przeciw durowi brzusznemu. Zaszczepione zostaje całe miasto. W stałych i ruchomych punktach szczepień, w zakładach pracy, szkołach — na posterunku pielęgniarki, pracownicy szpitali, uczennice szkoły pielęgniarskiej.

Każdego dnia doktor Maryńczak podpisuje komunikat o sytuacji miasta.

12.XII. 1967 r. Zanotowano 18 nieżytów żołądkowo-jelitowych. Łączna liczba zachorowań wynosi 2.307 osób. Zarejestrowano 12 czerwonek. Łączna liczba zachorowań na czerwonkę wynosi 80. W szpitalach przebywa łącznie 73 chorych, w tym 6 dzieci. Od początku akcji zaszczepiono łącznie 19.520 osób. W dalszym ciągu pobierane są wymazy, przeprowadzane są wywiady. Sieć wodociągu kolejowego przy ujęciu jest chlorowana dawką chloru 1 mg/l. Ustalono pobieranie wody z ujęcia PKP co trzy godziny, w celu badania. W trakcie budowy znajduje się pomieszczenie dla chloratora. Chlorator został sprowadzony i znajduje się obecnie w pompowni PKP.

13 grudnia 1967 r. Zgłoszono 16 nieżytów żołądkowo-jelitowych z wcześniejszymi datami zachorowań. Łączna liczba zachorowań wynosi 2.323 osoby. Zarejestrowano 11 dalszych czerwonek. Łączna liczba zachorowań na czerwonkę wynosi 91. W szpitalach przebywa 71 osób. Zaszczepiono dalsze 123 osoby, łącznie zaszczepiono 19.623 osoby. Ekipy lekarsko-pielęgniarskie w dalszym ciągu odwiedzały chorych w domu, wydając chorym leki. Przedezynfekowano odcinek sieci wodociągowej łączącej Gmach Główny ze Szkołą Rzemiosł Budowlanych.

16 grudnia. Zgłoszono dalszych 5 przypadków zachorowań. Stwierdzono pałeczki czerwonki u 18 osób. W szpitalach przebywa 85 osób. Wobec braku objawów klinicznych u większości chorych, u których stwierdzono czerwonkę — po skonsultowaniu z Wojewódzkim Inspektorem Sanitarnym i Ordynatorem Oddziału Zakaźnego postanowiono część chorych objąć przymusowym leczeniem ambulatoryjnym. W tym celu zostaną doraźnie otworzone odpowiednie poradnie w Miejskiej Przychodni Obwodowej w Chełmie przy ul. Obłońskiej, w Poradni Dziecięcej przy ulicy Waśniowskiego oraz w Przychodni Rejonowej PKP. Zainstalowano i uruchomiono stały chlorator na ujęciu kolejowym, dezynfekując w dalszym ciągu sieć dawką 1 mg/l wolnego chloru. W dniu 18 grudnia 1967 r. po przepłukaniu sieci będzie pobrana w godzinach 8—10 woda do badania z określonych punktów na Osiedlu Kolejowym. Woda ta będzie przesłana do badania do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Lublinie.

foto: W. Hudon

Jeden z ulicznych punktów poboru wody. Punktów było 7, a rolę zbiorników pełniły „polewaczki".

ZWYCIĘSTWO

OKOŁO DWUDZIESTEGO GRUDNIA gazety w całej Polsce podają wiadomość, że sytuacja w Chełmie zostaje opanowana. Nie ma dalszych zachorowań. W budynku chełmskiego „Sanepidu" rozmawiam z dr Maryńczakiem:

— To było trudne zwycięstwo, a odnieśliśmy je dzięki postawie wszystkich pracowników Służby Zdrowia. Od pierwszego dnia, od pierwszego niedzielnego rozpoznania, byliśmy na nogach. Dla wielu z nas ten miesięczny okres był jednym ogromnie długim dniem pracy. Bez przerw, bez nocy, bez odpoczynku. Nie dalibyśmy sobie rady bez pomocy. Pomagały nam sąsiednie powiaty, przysyłając samochody, które przydawały się nam do transportu, lub do wożenia wody, przyjeżdżali lekarze z Lublina i z Warszawy. Dobrze, że przed nowym rokiem nie było już nowych zachorowań. Ludzie mieli spokojne święta. Nie jest to jeszcze pełne zwycięstwo. My — lekarze, będziemy spokojni dopiero wówczas, kiedy wszyscy chorzy wrócą do domów. Na razie istnieje jeszcze stan zagrożenia.

WIESŁAW HUDON

Najmłodsza

ZACZĘŁO się od dwu tuzinów telewizorów, przy których zasiedli pierwsi warszawscy telewidzowie w pewne październikowe popołudnie 1952 r. A dziś przy blisko 3 milionach odbiorników gromadzi się codziennie prawie jedna trzecia ludności Polski.

Jubileusz 15-lecia daje okazję do wspomnień. Powspominajmy więc i my trochę o tym, jak to było.

„Skrzyżowanie kina z radiem"

NIM DOSZŁO do pierwszej telewizyjnej emisji, wiele lat trwały eksperymentalne próby. Zaczęło się jeszcze przed wojną, bo w 1938 roku. Wtedy właśnie uruchomiono w Warszawie pierwszą doświadczalną stację telewizyjną. Stacja mieściła się w tym samym gmachu, w którym dziś jest hotel „Warszawa", na Placu Powstańców, wtedy jednak budynek nazywał się „Drapaczem chmur". Niestety, wybuchła wojna i przerwała na długi okres eksperymenty.

Badania nad telewizją podjęto w 1948 r. w Instytucie Telekomunikacji przy ul. Ratuszowej na Pradze. Tam właśnie pierwsi mechanicy polskiej telewizji zbudowali samodzielnie aparaturę, którą w 1951 roku pokazano na wystawie radiowej w Warszawie. Wkrótce potem uruchomiono doświadczalne studio.

Pan Jan Matczak, monter z Warszawskich Zakładów im. Kasprzaka, który wtedy wraz z innymi technikami montował aparaturę telewizyjną, tak wspomina dziś te pionierskie czasy:

— Telewizję nazywaliśmy „skrzyżowaniem radia z kinem" i nie bardzo wierzyliśmy, że ten rodzaj widowiska się przyjmie. Na ekranie coś tam się ruszało, ktoś niby śpiewał, niby tańczył — ale w sumie strasznie męczyły się oczy przy patrzeniu na te migocące obrazy.

No tak, to było dawno. A oto jak wyglądał pierwszy „dobry" już program, którym uraczono robotników w dwudziestu warszawskich zakładach pracy.

Latarnie nocą - świecą, migocą...

PUNKTUALNIE O GODZINIE 19 zaświeciły się małe ekrany, ukazała się twarz blond-spikerki i zgromadzeni w sali pierwsi telewidzowie usłyszeli głos na podkładzie muzycznym „Latarni Warszawskich":

— Jest noc. Na Nowym Świecie zapłonęły latarnie. Odpowiadają im światła Marienszatu i Starego Miasta. Rozpoczyna się cicha nocna rozmowa świateł warszawskich.

Głos spikerki milknie, a na ekranie ukazuje się śpiewaczka Marta Nowosad i śpiewa „Latarnie nocą — świecą, migocą...". Potem Witold Gruca tańczy groteskę pt. „Strach na wróble". Aktor Jan Mroziński przedstawia mimiczną scenkę, jak rozmawiamy przez telefon, a Jerzy Michotek prezentuje swoje pieśniarskie przeboje.

Taki był pierwszy półgodzinny program telewizji polskiej 15 lat temu.

Blond-spikerka, która zapowiadała ów program, nie pracuje już dziś w telewizji. Jest redaktorką w Polskim Radio. Pani Maria Rosa-Krzyżanowska tak wspomina swój telewizyjny start:

— Studio ówczesnej telewizji znajdowało się w Instytucie Łączności na Ratuszowej i było tak małe, że mieściło albo spikerkę, albo fortepian. Gdy dyrektor telewizji zobaczył mnie kiedyś, wykrzyknął: „Nareszcie mam małą spikerkę do naszego studia, ona chyba się zmieści razem z fortepianem".

To wyróżnienie osłodziło mi gorycz jaką zawsze odczuwałam z powodu mego małego wzrostu. Moja niewielka postać sprawiła mi zawód 3 lata wcześniej, gdy starałam się o przyjęcie do Wyższej Szkoły Aktorskiej. Na egzaminie wstępnym profesor Zelwerowicz spytał groźnie: „Wszedł już ktoś, bo nic nie widzę".

„Tak, panie profesorze, jestem" — odpowiedziałam drżąc, a „Zelwer" na to:

„Skoro ja pani nie widzę z odległości kilku metrów, to kto panią zobaczy z galerii teatru".

Tak więc mój mały wzrost najpierw pokrzyżował moje życiowe plany, a potem pomógł mi w uzyskaniu pracy spikerki. Ale nie zagrzałam w telewizji długo. Zastąpił mnie wkrótce pan Suzin.

Zgłosiłem się tylko dla draki

JAN SUZIN jest dziś jednym z najstarszych stażem spikerów naszej telewizji. Jak się zaczęła jego kariera? Niech sam opowie.

— Jesienią 1955 roku usłyszałem w radio zapowiedź, że telewizja poszukuje spikerów. Byłem co prawda architektem i pracowałem już w swoim zawodzie, ale

MU

Reżyser telewizyjny Andrzej Konic przy kamerze. Powinniście go znać doskonale, bowiem właśnie jego reżyserii zawdzięczacie „Stawkę większą niż życie" z popularnym kpt. Klossem (St. Mikulskim) w roli głównej.

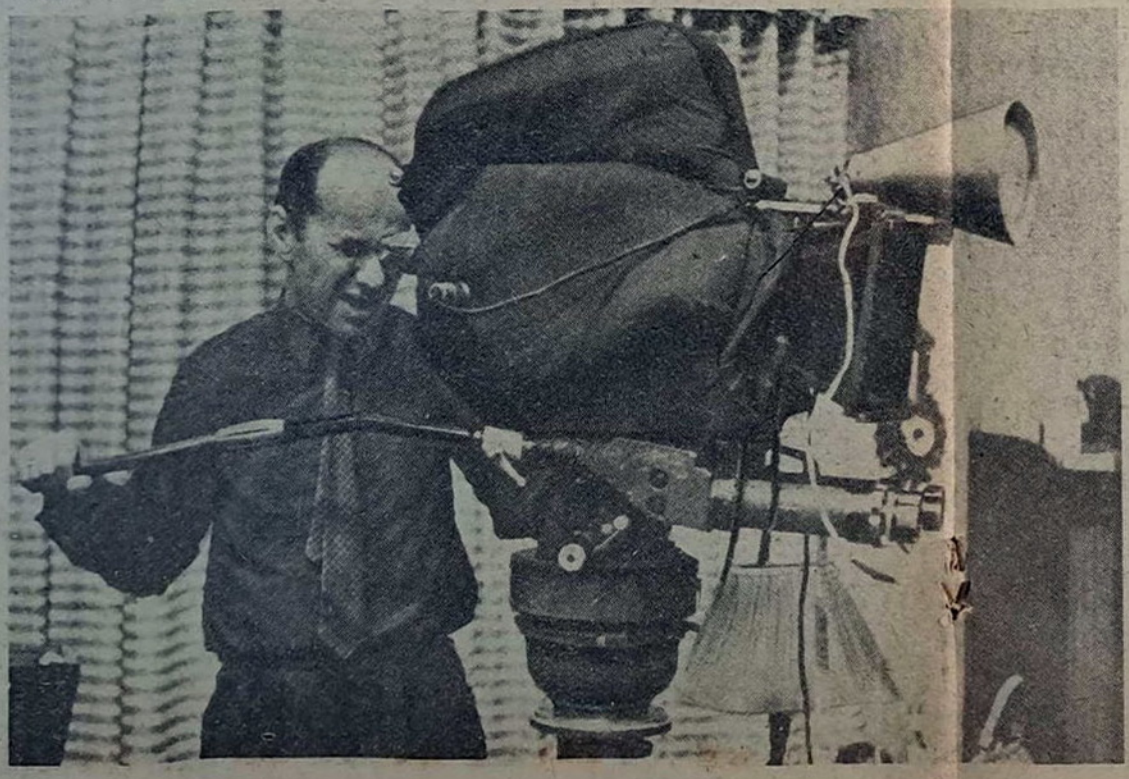

recytowałem kiedyś dobrze wiersze, no i tak dla draki zgłosiłem się do telewizji. Ku mojemu zdziwieniu zostałem przyjęty i ta „zabawa" wciągnęła mnie wkrótce na dobre. Zresztą dziś nie uważam już, żeby to była zabawa, lecz ciężka praca. Kto bowiem wytrzyma np. w kabinie spikera, gdzie siedzi się jak w piekarniczym piecu o temperaturze dochodzącej nieraz do 60 stopni (reflektory i lampy tak grzeją), a tu jeszcze trzeba uważać, czy krawat się nie przekrzywił, czy włosy nie zwichrzone. Trzeba być spokojnym, miłym i umieć mówić głosem „herolda". Mimo to nie umiałbym dziś żyć bez telewizji.

Jedna z pierwszych aktorek

ALINA JANOWSKA należała do grona tych nielicznych aktorów, którzy przed 15 laty występowali w eksperymentalnym jeszcze studio TV. Oto jak sama aktorka wspomina te czasy:

— W roku 1959 zorganizowano w Domu Nauczyciela przy ul. Spasowskiego wystawę techniki telewizyjnej, gdzie, zaimprowizowano także małe studio. My, aktorzy,

Alina Janowska była jedną z pierwszych aktorek, które wystąpiły przed 15 laty w eksperymentalnym programie naszej TV.

A tak się w studio telewizyjnym podpowiada. Inspicjentka trzyma tekst sztuki tuż obok kamery, a aktor, siedzący przed kamerą i mówiący swoją kwestię, czyta na odległość odpowiedni fragment z pokazywanego mu egzemplarza. Tego oczywiście telewidzowie już nie widzą.

UZA

Oto jedna z najbardziej popularnych par dzisiejszej telewizji: dwóch panów Janów (Kobuszewski i Kociniak) z „Wielokropka".

Foto: Rożycki, Michalski, Wiernicki, Czerwiński.

graliśmy przed kamerami i znajdowaliśmy się za szybą jak gdyby w akwarium. Zebrani tłumnie na pokazie warszawiacy oglądali nas bezpośrednio przez szybę, nie słysząc głosów. Było to bardzo zabawne, ale też po raz pierwszy uświadomiłam sobie, jakie duże są różnice między występami w teatrze a graniem przed telewizyjną kamerą, gdzie każdy gest, grymas ust i mimika twarzy jest rejestrowana z okrutną dokładnością.

W czasie występu, pamiętam jak dziś, śpiewałam piosenkę „O moim mężu" do słów J. Prutkowskiego i tańczyłam kujawiaka.

Alina Janowska występowała potem wiele razy na małym ekranie. Wkrótce stała się jedną z najbardziej popularnych aktorek i zdobyła w latach 1961—66 pięć srebrnych i jedną złotą maskę w plebiscycie „Expressu".

Dziś i jutro naszej jubilatki

TV MA JUŻ, jak wiemy, 15 lat. Jak wygląda nasza najmłodsza muza dziś? Jakie ma plany na jutro? Na dalsze 15 lat?

Oto co mówi na ten temat sam wiceprzewodniczący Komitetu do Spraw Radia i Telewizji i kierownik warszawskiej TV — Stanisław Stefański:

— Nasza telewizja jest dziś „oczami milionów". Jest prawie tak jak ogromna gazeta, która w określonej objętości musi zmieścić wszystko: kulturę, naukę, rozrywkę, publicystykę. Oczywiście do takiej gazety wszyscy mają jakieś pretensje. Niestety, mamy tylko jeden program telewizyjny i trudno wszystkim dogodzić, choć się o to usilnie staramy.

W niedalekiej przyszłości podejmiemy nadawanie drugiego programu. Najpierw tylko na Warszawę, później Łódź (1969 r.), Katowice, Kraków (1970 r.). Da to możność zwiększenia niektórych pozycji szczególnie popularnych. W początkach przyszłego roku TV otrzyma pierwsze studio w nowym centrum radiowo-telewizyjnym, budowanym obecnie na Mokotowie. Studia te umożliwią nam lepsze organizowanie programów rozrywkowych oraz widowisk teatralnych i wielkich spektakli...

No i jeszcze telewizja kolorowa. Polska czyni już próby i prace badawcze nad wprowadzeniem koloru do naszej TV, ale jest to, jak na razie, jeszcze „pieśń przyszłości". O nadawaniu programów kolorowych można będzie pomyśleć po uruchomieniu produkcji nowych aparatów, co nastąpi nie wcześniej niż po 1970 r.

Jakie niespodzianki przygotowuje TV dla odbiorców na dziś?

— Przede wszystkim entuzjaści sportu mogą oczekiwać transmisji z Zimowych Igrzysk w Grenoble i transmisji z Olimpiady w Meksyku. Amatorzy „dreszczyków" dostaną nowe pozycje Teatru Sensacji, miłośnicy piosenki — nowe programy rozrywkowo-muzyczne i „Listy śpiewające". Kinomani uradują swe oczy całymi seriami filmów telewizyjnych. Nowością jest wprowadzenie stałej pozycji „Teatr telewizyjny na świecie" — gdzie prezentujemy najwartościowsze spektakle przygotowane specjalnie dla telewizji, przez inne kraje. No i wreszcie dla młodzieży przewidujemy znaczne zwiększenie ilości godzin programów nadawanych specjalnie dla nich.

Nim te wszystkie wypowiedzi staną się rzeczywistością, nim najmłodsza muza wydorośleje — z okazji jej piętnastoletnich urodzin życzymy jej wszystkiego najlepszego.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

DZIŚ KLUB TYLKO DLA CHŁOPCÓW

Foto: K. Czapiński

Są takie sprawy, które nie obchodzą dziewcząt, a chłopcy nazywają je sprawami męskimi. Są takie tematy, które wciągają chłopców o wiele bardziej niż dziewczęta. „Świat chłopców" i „świat dziewcząt" — różnią się od siebie.

Tak twierdzą niektórzy, i dorośli, i nastolatki. A inni znów powiadają, że współczesna dziewczyna i współczesny chłopiec mają te same zainteresowania, że są tacy sami.

My jesteśmy „Światem Młodych", chcemy więc, żeby w naszej gazecie zawierał się i „świat dziewcząt", i „świat chłopców". Powiedzcie nam, nastolatki, czy istnieją sprawy, zainteresowania, tematy — specyficznie męskie? Jakie? Zwłaszcza chłopcom stawiamy to pytanie, bo zauważyliśmy, że ostatnio mniej przychodzi listów od chłopców. Dlaczego? Czekamy!

KLUB NASTOLATKÓW

WCZESNIE położyłem się spać. W telewizji nie było nic do oglądania. Stale myślałem o Agnieszce. Wczoraj łaziliśmy całą paczką bez celu. Wieczorem byliśmy w kinie, a potem rozmawialiśmy o aktorze, który grał główną rolę w filmie. Agnieszka pokłóciła się z Mikrusem. Zresztą racja była po jej stronie. W pewnym momencie Mikrus rozzłościł się, pchnął Agnieszkę na jezdnię. Zamknąłem oczy, na szczęście wszystko zakończyło się dobrze. Agnieszka leżała o pół metra przed maską samochodu, który gwałtownie zahamował. Mikrus uciekł, a kierowca — zdenerwowany do ostatnich granic — rzucał przekleństwa. Wyjaśniłem mu, co się stało, ale nie bardzo rozumiał.

Odprowadziłem Agnieszkę do domu i sam poszedłem w stronę rynku, później do domu.

Teraz leżę i rozmyślam, nawet nie wiem, kiedy zasypiam. Rano w szkole nic mi się nie wiedzie. Z klasówki z języka polskiego dostaję trójkę z plusem. Agnieszki nie ma w klasie. Na przerwie podchodzę do Mikrusa:

Jak można tak głupio postąpić? Mogłeś przecież spowodować wypadek.

Nic nie odpowiada, odwraca się ze złością. Rozmawiam z Truskawką, który też był z nami. Truskawka milczy. Następna lekcja to matma, w połowie wcho-

dzi Agnieszka z matką. Jej matka podchodzi do „katedry" i coś tłumaczy panu. Nic nie słyszę. Patrzę tylko na Mikrusa.

Gdybym mógł, to zbiłbym go na kwaśne jabłko. Ale nic z tego; siedzę jak przyklejony do ławki. Nareszcie dzwonek. Nie mogę już patrzeć na Mikrusa. Po lekcjach znów uparcie podchodzę do niego. Uderzyłem raz, drugi. Nie bronił się nawet.

Po lekcjach wyszedłem ze szkoły z Truskawką. Idąc do domu, nagle usłyszałem głośne wołanie. Gonił nas Mikrus. Był zziajany. Coś zaczął mówić. Rzucił się na mnie. Zebrała się grupa gapiów. Uderzył, oddałem i tak jak seria z karabinu: Raz, raz, dwa...

Zmęczył się, już odchodząc podstawił mi nogę. Upadłem i dalej nic nie pamiętam. Straciłem przytomność.

Trzeci dzień leżę w szpitalu. Wiem od pielęgniarki, że za drzwiami czeka Mikrus. Prosze, by go wpuścili...

Opowiadanie
ANDRZEJA JARAŃSKIEGO
z Płocka

ZBLIŻAŁ EIĘ czas rozpoczęcia meczu. Nasza „Pogona" była już rozebrana. Brakowało tylko Marka, etatowego bramkarza naszej drużyny. Przeciwnicy też byli rozebrani, czekali aż wybiegniemy na boisko. Atmosfera bardzo napięta:

„Dlaczego nie wylatują?" — dały się słyszeć głosy kibiców zgromadzonych wokół boiska. Byliśmy jednak w niemałych tarapatach. Trudno grać bez bramkarza. Był wprawdzie rezerwowy, Tadek, ale był on bardzo słabym zawodnikiem.

— Dlaczego Marek nie przyszedł? — głowił się Olek.

— Może mu coś wypadło? — próbował odgadnąć Włodek. Mecz trzeba było jednak już zaczynać. Wybiegliśmy na boisko. Wybiegł też Tadek, rezerwowy. Sędzia dał znak rozpoczęcia meczu.

Czy przy takim bramkarzu zdołamy utrzymać honorowy wynik? „Orły" ostro zaatakowały. Obrońcy nasi mieli pełne ręce roboty. Znowu akcja z ich strony, obrona nasza atakuje, ale bez skutku, zawodnik „Orłów" zbliża się pod naszą bramkę, jeszcze jeden manewr z jego strony i został tylko bramkarz. Przymknęliśmy oczy, bramka nieunikniona, strzał... i fantastyczny rzut Tadka ratuje sytuację.

Przecieramy ze zdumienia oczy. Ocknęliśmy się na gwizdek sędziego. Faul na naszą korzyść za nieprzepisowe zagranie przeciwnika. Do piłki podchodzi Janek. Bije miękko pod bramkę przeciwnika, piłka idzie wysokim lotem. Duże zamieszanie. W tej kotłowaninie nóg przejmuje ją Heniek, strzela, i gol.

Do końca pierwszej połowy jeszcze 3 minuty. Okres, w którym przekonaliśmy się, ile wart jest Tadek! Otóż za rękę na polu karnym sędzia podyktował przeciwko nam rzut karny. Straciliśmy nadzieję. Teraz gol jest nieunikniony. Tadek stoi nieruchomo. Jego zgarbiona sylwetka i napięte sprężyście nogi gotowe są do skoku. Gwizdek! Zamarliśmy bez ruchu. Zawodnik „Orłów" podchodzi do piłki, strzał... i piękna parada Tadka wprawia nas w zdumienie. Chcieliśmy go ucałować z radości, niestety, znów przeciwnicy dostali piłkę. Bronimy się jednak dzielnie. Gwizdek i koniec I połowy meczu. Schodzimy z boiska uszczęśliwieni. Tadek schodzi ostatni. Patrzymy na niego z niedowierzaniem.

— Byłeś doskonały! — powiedział Olek.

— Najlepszy na boisku! — dodał ktoś inny.

Tadek promienieje. To chyba najjaśniejszy dzień w jego życiu. I oto wśród tych uwag i komplementów ktoś krzyknął:

— Marek biegnie! Spojrzeliśmy wszyscy w tę stronę. Istotnie, wśród drzew otaczających boisko biegł Marek.

— Dlaczego tak późno? — pytamy.

— Mamiśynek, teraz już nie jesteś nam potrzebny! — wtórował czyjś głos. Marek nie zważał na te uwagi.

— Nie mogłem wcześniej — odpowiada. — Mama jest chora.

Nastąpiła cisza.

— Rozbieraj się. Zmienisz Tadka.

— Dlaczego? — pytamy Janka, który to zaproponował.

— Bo mi się tak podoba! — odparł natychmiast.

Janek był naszym kapitanem i zarazem najstarszy wiekiem, zawsze go słuchaliśmy. Tak było i tym razem.

Po przerwie zaczęliśmy grę z Markiem w bramce. „Orły" z miejsca zaatakowały. Postawili wszystko na jedną kartę. Rozgorzała zaciekła walka. Obrońcy nasi uwijali się jak w ukropie. I oto nastąpił moment, którego nikt się nie spodziewał. Marek przepuścił bardzo łatwą do obrony piłkę i było 2:1. Ta nieoczekiwana bramka podcięła nam nogi. Zaczęliśmy grać chaotycznie. „Orły" natomiast atakowały z jeszcze większą werwą. I oto znów nastąpiła przykra dla nas chwila. Marek został zmuszony po raz drugi do kapitulacji po zbyt późnej interwencji. Byliśmy zrozpaczeni.

— Co on wyprawia? Dlaczego dziś jest taki słaby? — zadawaliśmy sobie pytania.

Znów zaczynamy grę od środka. Czy zdołamy utrzymać honorowy wynik? Znów przeciwnicy mają piłkę. Bronimy się całą drużyną. Gwizdek i koniec meczu. Po tym niefortunnym występie Marek jest roztrzęsiony.

— Wszystko przeze mnie. Mogłem wcale nie przychodzić.

Do domu wraca sam. Jest przygnębiony. Nikt z nas nie rozmawia z nim. Nagle słyszy wołanie:

— Marek, Marek... poczekaj!

Odwraca się. Za nim biegnie Tadek... **(rj)**

Opowiadanie napisał:
MAREK SZAŁAPSKI
z Dąbrowy Górniczej

NASTOLATKI — DZIEWCZĘTA RÓWNIEŻ PROSIMY O LISTY

Zimowe Igrzyska Szkolne rozpoczęte ● We wszystkich szkołach podstawowych i średnich trwają eliminacje ● Walka toczy się w kilkunastu konkurencjach zimowych ● „Świat Młodych" rozmawia o zadaniach harcerzy z druhem Włodzimierzem Saranem Z-cą Naczelnika ZHP.

REDAKCJA — Już po raz dwunasty młodzi sportowcy z Harcerskim Krzyżem będą startować w Zimowych Igrzyskach.

Dh Saran — Tak, ale od kilku lat. Związek Harcerstwa Polskiego razem ze Związkiem Młodzieży Socjalistycznej, Związkiem Młodzieży Wiejskiej i Szkolnym Związkiem Sportowym organizują wspólnie jedną, wielką imprezę. Tak jest teraz. Impreza ta ma charakter o wielkiej rangi sportowej, a jej uczestnicy mają jeszcze jedną okazję wspólnego działania.

REDAKCJA — Najważniejsze są same zawody szkolne. Może i powinien w nich startować każdy uczeń. Naszych czytelników interesuje głównie to, co się dzieje w szkołach podstawowych.

Dh Saran — Jeśli cały zastęp przeprowadza treningi i weźmie udział w zawodach — ma prawo zaliczyć to jako zadanie zespołowe w poczet zdobywanego stopnia. Od roku harcerze mają w swoich legitymacjach specjalną **„Wkładkę Sportowo-Turystyczną"**. Wyniki uzyskane w zawodach szkolnych należy wpisywać do tej wkładki, poza tym można je zaliczyć na sprawność indywidualną: łyżwiarza, saneczkarza czy organizatora gier sportowych, a także na Nizinną czy Górską Odznakę Narciarską.

REDAKCJA — Jaki może być udział harcerzy przy organizowaniu samej imprezy szkolnej?

Dh Saran — Ci najstarsi, z kl. VII czy VIII, powinni pracować w komisjach sędziowskich, w komitecie propagandowym czy biurze zawodów. Zastępy harcerskie mogą wyznaczać czasy, przygotowywać niezbędny sprzęt sportowy np. do Wieloboju Saneczkowego.

Bardzo bym się cieszył, gdyby właśnie w tym Wieloboju i Walterowskich Biegach Patrolowych — jako konkurencjach, posiadających sporo elementów techniki harcerskiej, wśród najlepszych w każdej szkole i w całym kraju znalazło się jak najwięcej zawodników z Krzyżem Harcerskim. Oczywiście harcerze, tak jak wszyscy uczniowie, będą startować w tych dyscyplinach, które im najbardziej odpowiadają. Kto zwycięży, ten będzie reprezentował swoją szkołę.

Życzę czytelnikom „Świata Młodych", by nie było ani jednego, który by nie wziął udziału w Igrzyskach. Życzę redakcji, by jej impreza „Złoty Krążek Świata Młodych" cieszyła się jak zawsze wielką popularnością.

Do zobaczenia w Bielsku-Białej.

Rozmawiał:
JERZY B. KLIMA
Foto: Leszek Łożyński

Igrzyska jak OLIMPIADA

DYSCYPLINY SZKÓŁ PODSTAWOWYCH

I. WIELOBÓJ SANECZKOWY

1. Ślizg jedynek

Każdy uczestnik z drużyny 3-osobowej wykonuje dwa ślizgi. Postawa siedząca. Tor saneczkowy do 600 m długości, kąt spadku nie większy niż 10 stopni.

Sprzęt własny — dowolny, z wyłączeniem saneczek wyczynowych.

2. Saneczkowy tor przeszkód

Długość 250—400 m, w tym 2/3 trasy o spadku umożliwiającym zjazd na sankach. Teren urozmaicony. Trasa podzielona na 4 odcinki. Na końcu każdego punkt sędziowski.

Trzyosobowy zespół startuje z jednymi, dwuosobowymi sankami.

Ślizgi odbywają się w ten sposób, że dwóch zawodników zjeżdża aż do punktu sędziowskiego, po czym jeden wraca i zjeżdża z czekającym trzecim zawodnikiem.

Na odcinkach prostych — dwaj zawodnicy ciągną sanki z trzecim kolegą.

Próby:

a) rzut kulami śnieżnymi do celu o średnicy 1 m, z odległości 15 m. Każdy zawodnik oddaje 3 rzuty.

b) ocena odległości.

c) odczytanie meldunku napisanego alfabetem Morse'a.

II. „ZŁOTY KRĄŻEK ŚWIATA MŁODYCH" — DLA CHŁOPCÓW

III. BŁĘKITNA SZTAFETA — DLA DZIEWCZĄT

IV. ŁYŻWIARSTWO SZYBKIE

Trzyosobowe oddzielne zespoły: dziewcząt i chłopców. Liczy się czas uzyskany na dystansie 100 i 300 m.

V. NARCIARSTWO KLASYCZNE:

— dziewczęta — bieg płaski na dystansie 1000 m.

— sztafeta 3×800 m.

— chłopcy — bieg płaski 1.500 m.

— sztafeta 3 × 1000 m.

VI. PIERWSZY KROK ŁYŻWIARSKI

Podstawowe figury łyżwiarstwa.

Jedynie w tej ostatniej konkurencji granica wieku wynosi 11 lat (i młodsi). W pozostałych startują urodzeni w 1953 r. i młodsi.

KALENDARZYK IGRZYSK

Igrzyska Szkolne — w zasadzie powinny się zakończyć do 30.I.1968 roku, ale Powiatowy Komitet Organizacyjny może je przedłużyć do połowy lutego.
Igrzyska Powiatowe — do 15.II.1968 r.
Igrzyska Wojewódzkie — do 25.II.1968 r.
Igrzyska Centralne — w Bielsku-Białej: 28.II.—3.III.1968 r.

Spróbuj rozwiązać

KTO WYLOSOWAŁ NAGRODY PZU

JAZDA NA SANKACH W POBLIŻU SZOS, ULIC I TORÓW JEST STALE NIEBEZPIECZNA.

Nagrody wylosowali:

Budzik: Włodzimierz Filipiuk — Przegalin Duże;

Sanki: Edward Wanat — Stępina 109;

Diaskop: Sabina Kołodziejczyk — Łódź.

Komplet narzędzi do majsterkowania: Roman Bieluszka — Świebodzice.

Książki: Jerzy Cieślik — Wiązownica Duża; Bożena Ciesielska — Kłodzko; Marek Katarzyna — Łodygowice 645; Danuta Masłowska — Opole 7; Halina Parfienowicz — Poznań — Grunwald; Zdzisława Pisarek — Katowice; Mirosława Pietras — Szczecin; Jacek Stojanowski — Psary; Marta Surowiak — Sanok; Roman Wrona — Brzana Dolna.

ROZWIĄZANIE SKAKANKI Z NRU 100 PRZYJEMNYCH FERII ZIMOWYCH.

Nagrody książkowe wylosowali: **Grażyna Ambroszko** — Warszawa 22; **Janina Daniszewska** — Wola Gołymińska; **Wanda Gołębiowska** — Trzcinno; **Krzysztof Jaśkiewicz** — Rzeczenica; **Alfred Pluta** Pacierzów; **Irena Szymańczuk** — Chwałowice; **Teresa Śliwińska** — Młodziatycze; **Stanisław Turoń** — Luteza 82; **Jerzy Weremczuk** — Zawidy; **Krzysztof Zywer** — Rogieniczki.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa". Warszawa, ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł. 4.00, kwartalna 12.00. Wpłaty przyjmują urzędy pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch". Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Adres redakcji: Warszawa, ul. Mokotowska 24.
Zam. 1774. N-72

Sylwetki wielkich aktorów

Maurice CHEVALIER

Maurice Chevalier jest pełen radości życia i humoru. Powiedział w wywiadzie: „W roku 1968 będę występował we wszystkich krajach, w których śpiewałem przez cały czas mej kariery. Zakończę występy jesienią w Paryżu, i to będzie moje ostateczne pożegnanie ze sceną. Kiedy się ukończy 80 lat, dalsze pozostawanie na estradzie jest trochę nieprzyzwoite".

W 1968 roku jeden z najbardziej sławnych piosenkarzy i aktorów francuskich — Maurice Chevalier — kończy 80 lat. Jest to wydarzenie wprost niezwykłe w artystycznej i estradowej karierze naszych czasów.

I dlatego, „Świat Młodych" gości dziś na swych łamach tego wiecznie młodego i uśmiechniętego solenizanta — Maurice Chevaliera. Poznając go, oceńcie sami, czy nie jest wart tej wielkiej sympatii i uwielbienia, jakim cieszy się na całym świecie

Niebieski smoking i słomkowy kapelusz

„GDY KTOŚ ma lat czterdzieści — uważa się jeszcze za młodzieńca. Gdy ma lat czterdzieści pięć — przestaje myśleć o latach. Przy sześćdziesięciu — mówi sam do siebie: „Starzejesz się mój drogi... ale grunt, że się dobrze trzymasz".

Potem znów mija kilka lat i dziwi się człowiek, że rzeczy, które dawniej robił z łatwością teraz wykonuje z trudem. I wreszcie, gdy się zbliża osiemdziesiątka... okazuje się, że można być jeszcze bardzo, bardzo szczęśliwym..."

Taka mniej więcej filozoficzno-dowcipna zapowiedzią zaczyna zwykle swój estradowy występ Maurice Chevalier w najsłynniejszym teatrze Los Angeles, położonym dość wysoko na wzgórzach Hollywood, i zwanym „Greek Theatre".

Teatr ten to olbrzymi amfiteatr pod gołym niebem, gdzie odbywają się stale wielkie rewie i koncerty z udziałem najwybitniejszych solistów z całego niemal świata. Występy Maurice Chevaliera ściągają do amfiteatru tłumy publiczności, a przeważa wśród nich... młodzież (wydawałoby się, że młodzi uwielbiają tylko swoich rówieśników a jednak...).

Ten znakomity francuski pieśniarz, tancerz i aktor przez cały wieczór robi tzw. „one-man-show", czyli — grę jednego człowieka.

Jest na estradzie rzeczywiście sam jeden, bo nawet orkiestra ukryta jest za muślinową zasłoną. A mimo to trzyma w napięciu całe olbrzymie audytorium, bawiąc je przez cały wieczór. Ba! wprowadzając nawet widzów w nastrój oszołomienia i zachwytu.

Chevalier śpiewa, tańczy, odgrywa drobne parodie i mówi dowcipne monologi. Sam zapowiada (po angielsku, ale ze śmiesznym francuskim akcentem) swoje piosenki i jest wspaniałym gawędziarzem. Opowiada o najbłahszych wydarzeniach w sposób sympatyczny i kulturalny. W przeciągu 2-godzinnego koncertu potrafi zaśpiewać i odtańczyć około 20 piosenek i jest do końca w znakomitej formie.

Po zakończeniu spektaklu nie znać na nim zmęczenia nie widać kropli potu na czole. Jest tak samo rześki i świeży jak przed rozpoczęciem występów, gdy siwiuteńki, w błękitnym smokingu i nieodłącznym, legendarnym niemal, słomkowym kapeluszu — wchodzi na estradę.

„Czarne skarpetki" i twist

SPYTALI MNIE KIEDYŚ chłopcy z zespołu twistowego „Les Chausettes Noires", czyli „Czarne skarpetki", czy potrafię zatańczyć twista. — zwierzał się niedawno w wywiadzie prasowym Chevalier. — Odpowiedziałem im z uśmiechem: Za kogo mnie macie, chłopcy! Ja, który w 1912 roku brałem lekcje stepowania, nie potrafiłbym zatańczyć twista? To niemal obelga!

Gdy pokazałem im, co potrafię, zbaranieli i... w mig napisali specjalnie dla mnie piosenkę „Le Twist du canotier" (Twist słomkowego kapelusza).

To było oczywiście kilka lat temu, gdy nastała dopiero moda twista. Dziś króluje już inny szał i inne tańce. A prawie osiemdziesięcioletni pieśniarz nie boi się tych ciągłych zmian rytmów i mód. On nadąża! Dla niego nie ma nic nieosiągalnego.

Gdy zagadnięto Chevaliera, jakie rady dałby młodym, początkującym piosenkarzom — odpowiedział:

— Żadnych rad! Jeśli mają talent, dadzą sobie radę sami. Jeśli nie, będą naśladować innych, a to jest najgorsze.

— Wiem z własnego doświadczenia, że to nie na wiele się przyda. Gdy ja kiedyś zaczynałem, byłem co najmniej pod wpływem czterech ówczesnych piosenkarzy. Gdybym w porę się nie ocknął i nie utrzymał swego oryginalnego, paryskiego stylu, zapewne dziś nikt by o mnie nie pamiętał. Każdy piosenkarz winien być przede wszystkim sobą, a nie naśladować innych.

„Musiałaś niegdyś być przepięknym dzieckiem"...

PIOSENKI MAURICE CHEVALIERA są pełne uroku i dowcipu. Często nawiązują do jego własnego życia. Np. ta: „Cieszę się, że już nie jestem młody" („I'm glad I'm not young anymore"), opowiada o blaskach i urokach życia po sześćdziesiatce. Maurice śpiewając ją, jest przy tym tak czarujący i kipiący szczęściem, że „zaraża" swym nastrojem całą widownię, zwłaszcza te po sześćdziesiatce.

Młodzieży podoba się przede wszystkim w piosenkach — opowieściach. Takich, w których zawsze coś się dzieje. Do najulubieńszych należy: „Przeciw miłości nic nie można zdziałać" — o ekspedientce, która sprzedawała pewnemu panu zawsze za mały lub za duży kapelusz, chcąc, aby pan powrócił do sklepu raz jeszcze, bowiem ona zapałała do niego gwałtownym uczuciem.

Serca pań bez względu na wiek podbija Maurice Chevalier dystynkcją i światowymi manierami. Gdy śpiewa piosenkę o miłości, przeznacza ją przeważnie dla konkretnej pani, siedzącej na widowni. Mówi:

— Stary francuski zwyczaj pozwala artyście dedykować piosenkę wybranej kobiecie, której urodę i wdzięk wysoko sobie ceni. Ja ofiarowuję kolejną moją piosenkę o... tej pani w granatowej bluzeczce, siedzącej w drugim rzędzie.

Po czym podchodzi, klęka na kolano i wyciągając rękę w kierunku wybranej i szczęśliwej pani śpiewa:

„Musiałaś niegdyś być
przepięknym dzieckiem
wystarczy spojrzeć na panią
obecnie".

Któraż z dam nie oprze się urokowi tych słów i któraż nie polubi za to piosenkarza.

„Gigi", „Jessica", „Fanny"

KARIERA AKTORSKA Maurice Chevaliera utrwaliła się także poprzez filmy, w których aktor brał niejednokrotnie udział. Do najpopularniejszych zaliczane są: „Miłość po południu", „Gigi", „Fanny" i „Jessica". We wszystkich tych filmach aktor nie tylko gra, ale oczywiście, także tańczy i śpiewa. Wiele filmowych piosenek dzięki jego wykonaniu stało się muzycznymi przebojami i zawojowało świat.

Rolę zupełnie niepodobną do swego chevalierowskiego typu stworzył aktor w filmie „Dzieci kapitana Granta", który to film możecie obecnie zobaczyć na polskich ekranach.

I jeszcze jedno! Maurice Chevalier prawdopodobnie przybędzie w tym roku do Polski. Będzie honorowym gościem tegorocznego sopockiego festiwalu.

ALICJA WIELGOŁAWSKA

W filmie „Dzieci kapitana Granta" Maurice Chevalier wystąpił w roli profesora. Partnerowała mu dwójka młodocianych aktorów: George Sanders i Hayley Mills znana już naszym widzom z filmu „Pollyanna".

Fot: CWF